

„Święcone jajko” w Akcji Katolickiej.

Z inicjatywy i staraniem zarządu Stow. Niewiast Katolickich urządzono zebranie towarzyskie p. n. „Święcone jajko”. W zebraniu wzięły udział wszystkie cztery Stowarzyszenia a więc: Stowarzyszenie Niewiast, Stow. Mężczyzn, Stow. Młodzieży Polskiej męskie i żeńskie.

W starannie udekorowanej sali „Domu Katolickiego” ustawiono szereg stołów przybranych lśniąc białymi obrusami i kwiatami, a co najważniejsza zastawa wypełniona stosami kanapek różnych odmian. Obszerna sala z trudem mogła pomieścić uczestników. Otwarcia zebrania dokonał ks. proboszcz, wskazując na piękny cel – zbliżenie, poznanie się wzajemne i stworzenie obrazu zorganizowanej katolickiej rodziny, oraz złożył życzenia dalszego pomyślnego rozwoju Akcji Katolickiej.

Następnie chór kościelny odśpiewał pieśni religijne poczem przystąpiono do opróżniania półmisek i tak uporczywie dopełnianych. Po zwycięstwie dokonany nad zapasami, Chór zaśpiewał piosenki świeckie, nagrodzony hucznymi oklaskami i prowokacyjnym „bis”. Monologi wypełniły pierwszą część zebrania. Część druga rozpoczęła i zakończyła się tańcami. Całość zebrania wypadła bardzo dobrze i zostawi niewątpliwie jaknajlepsze wspomnienia wśród uczestników.

Uczestnik.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

Uśmiech dziecka.

(Dwuśpiew poezji i prozy)

Gdy burza letnia przeleci ponad miastem, a po jej przejściu płyną strumieniami ściekami ulicy dwa rwące strumienie ku miastu, albo gdy z nastaniem wiosny topniejące śniegi pobliskich wzgórz zamieniają całą ulicę w topielisko wodne, niedawni footballiści zmieniają się momentalnie w marynarzy.

Z nadejściem wiosny zawsze pełen zdumień
Chłonę swą duszą jej dźwięczne obrazki:
Gdy resztki śniegu spiją słońca blaski
Ściekiem ulicznym płynie wartki strumień.

Tu w lodzie bruku staw ogromny wygryził
I wodospadem spływa przez kamienie,
Tam znów podzielił się na dwa strumienie,
Jak Mississippi lub Eufrat i Tygrys.

Płynącej wody poszum tajemniczy
Gromady malców wywabia z suterenu,
Jakże cudowny to zabawy teren
Dla tych, co życia nie znają słodczy.

Krzyki uciechy, głosów zamęt dziki
I wnet kołyszą się na wartkiej wodzie
Z łup od orzechów i z pudełek łodzie
I papierowe białe okręci.

Na te okręty patrzy pełen wzdargi
Najstarszy wiekiem sklepiczarki synek,
Bo ma pancernik z pndla od sardynek
I torpedowiec z puszki od musztardy.

I w zachwyceniu spogląda gromada,
Schyliwszy twarz nad ulicznym ściekiem,
Jak płynie w słońcu ku krajom dalekim
Niezwyciężona dziecięca Armada.

Pogodna jesień znowu, gdy nad ziemią jest cisza a w górnych sferach dmą niewidzialne wiatry, to okres latawców. Przez cały dzień od świtu aż do zmierzchu kołują nad moim domem kolorowe ptaki przeróżnej konstrukcji, klejone z papieru pakunkowego, ze starych gazet, z kartek zeszytów szkolnych, z ogonami lub bez ogonów. Jedne wznoszą się wysoko aż do chmur, inne koziołkują pociesznie w powietrzu i opadają na dachy kamienic, albo pomiedzy gałęzie drzew. Mały właściciel udanego latawca trzyma kurczowo w swych płastkach naprężony sznur i spogląda z dumą na swoje dzieło. Otacza go gromada zachwyconych towarzyszy i główek zadartych do góry, bo oto po wyprężonym sznurze leci ku górze depesza – kawałek papieru naplzanego na sznurek z ogromną chyżością wzbija się ku górze i przylepia się do dzioba latawca. W gromadce robi się ruch. Dziesiątki rąk podają coraz to nowe kawałki papieru. Każde z dzieciaków chce postać w ten sposób swój liścik do nieba, na którym w marzeniach wypisał gorącą prośbę o dobrą notę, o scyzoryk z dwoma ostrzami lub o katapultę. Za krótki jest jednak sznurek latawca, ażeby te liściki dziecięce doszły do rąk dobrych aniołków. Lecz w zamian za to jesienne niebo uśmiecha się do tej poczty swoim jasnym błękitem, a uśmiech ten odbija się w dziecięcych oczach. Może dlatego tak często mają one niebo w oczach. Ale nie wszystkie – są i takie dzieci, upośledzone przez los, które nie śmieją się nigdy. Wychowane w chłodzie i głodzie, pozbawione pieszczoty i radości, są tak szare jak sutereny, w których się chowają, są tak nieszczęsne jak dola ich rodziców.

W gromadce dzieci, które obserwuję codziennie, jest także taki rudy dziki chłopak, zawsze zachmurzony, przypatrujący się zdaleka zabawie swolch towarzyszy. Przemysłowa tylko nad tem jak popsuć ich radość. Czasem podstawia nogę bawiącym się w football, innym razem bombarduje kamieniami papierowe okręci płynące po wodzie, to znowu pluje z przedziwną wprawą z wielkiej odległości na rozbawioną gromadkę dziecięcą, a gdy poszkodowany zbliży się do niego z wyrzutami, puszcza mu prosto w oczy gryzący dym z niedopałków paplerosów, które zbiera skrzętnie na ulicy zapychając niemi obłe kieszenie brudnej podartej bluzy. Nie śmieje się nigdy, a tylko czasem wykrzywia szarą, pokrytą plegami twarz złośliwym grymasem i wydaje ze ściśniętego gardła wysoki, przenikliwy, nieartykułowany dźwięk, coś niby okrzyk bojowy Indjau. Brzmi w nim przestroga, że lepiej się z nim nie zaczepiać. Wciąż nawet starsi wiekiem chłopcy omijają z lękiem rudego Józka i znoszą cierpliwie jego psoty, wyzwiska i prowokacje.